

Łowczyńi stała się zwierzyną

*Prawa  
królowa*

Początek śmierci #2

L. P. LOVELL



Copyright ©

L.P. Lovell

Tytuł oryginału:

*Kiss me*

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Przemysław Gumiński

Korekta:

Kinga Jazwińska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-602-7

L.P. LOVELL

# KRWAWA KRÓLOWA

POCAŁUNEK ŚMIERCI #2

TŁUMACZENIE  
DOMINIKA MACULEWICZ

OŚWIĘCIM 2021



## PROLOG

Jestem wyczerpana. Stoję na samym środku salonu i czuję swoje serce, które bije jak szalone, a całe ciało trzęsie się pod wpływem krążącej w żyłach adrenaliny. Zaciskam palce na rękojeści noża z taką siłą, że zaczynają mnie boleć. Biorę głęboki, drżący oddech i staram się rozluźnić. Nagle coś dotyka mojej stopy. Spuszczam wzrok i widzę kałużę gęstej krwi, która z każdą sekundą coraz bardziej rozprzestrzenia się po drewnianej podłodze, otaczając mnie niczym rzeka rozstępująca się na skale. Wyływa stałym, niesłabnącym strumieniem z przeciętej tętnicy szyjnej mężczyzny, który leży kilka kroków dalej. Stoję nieruchomo w samym centrum śmiertelnego chaosu i rozglądam się, podziwiając swoje dzieło. Ściany i meble są tak intensywnie zbryzgane krwią, że prawdopodobnie nic jej już nie zmyje. Zamykam oczy i wdycham metaliczny zapach, który miesza się z nutą prochu strzelniczego. Ta woń jest dla mnie jak narkotyk. Przypomina mi, że jestem ucieleśnieniem śmierci.

Pięć ciał. Pięć trupów mężczyzn, których wysłano tu po to, żeby mnie wyeliminować. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy bezustannej ucieczki każdy dzień stanowił dla mnie nowe wyzwanie. I nic dziwnego, bo nagroda za moją głowę wynosi aż pięć milionów dolarów. Sasza, czyli jedyna osoba, której teraz jestem w stanie zaufać, pomaga mi przewidzieć kolejne ruchy przeciwników i ostrzega mnie, kiedy i gdzie może dojść do następnego ataku. Ale mogę się ich spodziewać praktycznie w każdej chwili, więc z czasem staje się to coraz trudniejsze. Jakies dwa tygodnie temu udało się Saszy potwierdzić domysły Nero, że za tą niustanną gonitwą stoi Arnaldo Botticelli, więc

teraz mam na karku jednocześnie podszefa włoskiej mafii, Nicholaia – bo nie wróciłam do Moskwy, kiedy mnie o to prosił – no i oczywiście Nero. Powinnam była się domyślić, że nie pozwoli mi tak po prostu odejść i że jedna notka pożegnalna nie uspi jego czujności. Zjawił się tu dwa tygodnie temu. Prawdopodobnie szukał mnie piętro niżej w pokoju, który wynajęłam pod jednym ze swoich fałszywych nazwisk. Za ten tutaj zapłaciłam gotówką. Bezimiennie.

Wynajęłam dodatkowy pokój pod doskonale znanym im nazwiskiem i ściągnęłam ich, mimo że obecnie jestem zwierzyną w oczach wielu potężnych szych. Nie zamierzam się ukrywać, bo w końcu nazywam się Una Ivanov. Skoro Arnaldo tak bardzo chce się mnie pozbyć, to może sobie wysyłać tu swoich pionków do woli, a ja i tak każdego z nich pošlę do piachu. Jednak w poprzednim tygodniu do hotelu nie zawitał kolejny z ludzi podszefa włoskiej mafii, tylko Nero.

Na niższych piętrach zainstalowałam pełno czujników ruchu i innych środków bezpieczeństwa, dlatego żaden niespodziewany gość nie powinien umknąć mojej uwadze. Tamtego dnia po uruchomieniu się alarmu weszłam na drogę pożarową umieszczoną w cieniu po drugiej stronie ulicy, z której mam dobry widok na okno swojego pokoju, i wtedy go ujrzałam. Z celownika karabinu zobaczyłam jego ostro zarysowaną szczękę i napięcie wokół oczu. Wielu ludzi próbuje mnie dorwać, ale Nero Verdi jest jedyną osobą, której szczerze się obawiam, ponieważ w przeciwieństwie do pozostałych nie jest moim przeciwnikiem. Jest moim przeznaczeniem. Drugą połówką należącą do jednej zepsutej całości. Tęsknię za iskrą ekscytacji, którą wzbudzało we mnie jego intensywne spojrzenie. Kiedyś powiedział mi, że mogę sobie przed nim uciekać nawet na koniec świata, ale już zawsze będę należała do niego. I miał rację. Jest ojcem mojego dziecka, dlatego jego pobyt w Londynie jeszcze bardziej komplikuje ucieczkę. Nie może wiedzieć o ciąży. Z natury jest dość nie-

przewidywalny, więc nie mam pojęcia, w jaki sposób zareagowałyby na tak ważną i poważną wiadomość. Potrzebuję czasu. Tak dokładnie to mniej więcej sześć miesięcy. Po ich upływie dostrzymam obietnicy i do niego wrócę. W końcu ma moją siostrę.

Mrugam kilka razy i spuszczam wzrok na swój dość sporych już rozmiarów brzuch. Muszę uciekać. Tym razem mnie zaskoczyli. Wkradli się do budynku w środku nocy, nie uruchomili żadnego z alarmów i przedostali się do mojej kwatery na górze. Sama nie uprzątę tych ciał, ale jeśli poproszę kogoś o pomoc, to moi wrogowie natychmiast zwęszą trop niczym rekiny, które wyczuły w wodzie zapach świeżej krwi. Biorę do ręki jeden ze swoich zapasowych telefonów i piszę do Saszy:

**Trzeba posprzątać mieszkanie. Ja na jakiś czas znikam.**

Biorę szybki prysznic. Zeskrobuję ze skóry zaschniętą krew, barwiąc wodę na czerwono, a po wszystkim wychodzę z kabiny i ścieram z lustra parę, żeby się w nim dokładniej przejrzeć. Ledwo poznaję swoje odbicie, co oczywiście mnie cieszy. Platynowe włosy przefarkowałam na czekoladowy brąz, choć w kilku miejscach farba zdążyła już wypłowieć. Zaklejam plasterm krwawiącą ranę na policzku. Całą szczękę mam w czerwonych śladach, a na szyi wykwitają mi już fioletowe siniaki pozostawione po pasku, którym jeden z włamywaczy próbował mnie udusić. W Anglii strzelanina zwróciłaby zbyt wiele uwagi. W sumie to całe szczęście, ponieważ walka z pięcioma przeciwnikami na raz wcale nie jest taka trudna, jeśli nie mają do dyspozycji broni palnej. Wkładam dzinsy i luźną bluzę z kapturem, a następnie wychodzę z mieszkania z małą torbą w ręku. Mam tam pieniądze, nóż, kilka fałszywych paszportów i laptopa. To tyle. Idę ciemną ulicą prowadzącą do najbliższej stacji metra, skąd dojadę na Victoria Station. Tam kupię bilet i jak najszybciej wyniosę się z tego miejsca. Kto wie, może tym razem udam się do Irlandii

albo Paryża? Nie mam zielonego pojęcia, ale w tym momencie spontaniczność i dyskrecja działają na moją korzyść, ponieważ jeżeli nawet ja nie potrafię przewidzieć swoich decyzji, to Arnaldo tym bardziej nie jest w stanie tego dokonać.



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Una

Podaję mężczyźnie za biurkiem sfalszowane prawo jazdy zarejestrowane na nazwisko Sarah Jacobs. Zerka przelotnie na dokument, przykłada go do ksera i oddaje wraz z kluczem.

– N24 – mówi znudzonym głosem.

– Dziękuję. – Poprawiam torbę na ramieniu, a następnie zjeżdżam windą do podziemnego garażu. Pod numerem N24 stoi elegancki, czarny mercedes. Wrzucam do środka bagaż, siadam za kierownicą i uruchamiam silnik. Nie mam czasu do stracenia.

Opuszczam lotnisko Kennedy’ego, kierując się w stronę mostu Brooklyńskiego. Potrzebne mi są: zaopatrzenie, broń, amunicja, granaty i kamizelka kuloodporna. Na początku chciałam zaszyć się w Europie, ale doszłam do wniosku, że mam już dość uciekania przed tym włoskim skurwysynem. O wiele bardziej boję się Nero i Nicholaia. Przy nich Arnaldo to roztrzepane dziecko, a jego ludzie są jak muchy, które bez przerwy zabijam packą, lecz chwilę później pojawiają się kolejne. Już mnie to męczy, dlatego nadszedł czas, żeby z własnej woli wkroczyć do jaskini lwa, zabić tego bezczelnego króla dżungli i nabić jego pieprzony łeb na pal.

\* \* \*

Do tej pory już kilka razy włamałam się do domu Arnaldo, więc mniej więcej znam jego rozmieszczenie oraz martwe punkty zainstalowanych tu kamer bezpieczeństwa. Pozostaje tylko odwrócić uwagę strażników. Podchodzę swobodnym krokiem do

głównej bramy, chowając twarz w cieniu kaptura bluzy, po czym wkładam dłonie do przedniej kieszeni, wyciągam dwa granaty i zdejmuję zawlecзки. Następnie klękam na jedno kolano, po czym rzucam granaty w stronę bramy, sprawiając, że ich metalowa obudowa niewinnie dzwoni o twardy asfalt. Odwracam się i pochylam, a chwilę później uderza mnie w plecy fala gorąca oraz małe kamyczki wbite w powietrze siłą wybuchu. Moich uszu dobiega przeciągły jęk metalu i głośny trzask, z jakim główna brama wyłamuje się z zawiasów pod wpływem własnego ciężaru. Zanim jeszcze ostatnie odłamki lądują na ziemi, puszczam się biegiem w kierunku nowego prowizorycznego wejścia. Z małej budki strażniczej stojącej tuż obok bramy wytacza się dwóch ochroniarzy, którzy natychmiast dostają ode mnie kulkę w łeb. Chowam pistolet z powrotem do kabury przyczepionej do uda, po czym nurkuję w stronę małego lasku otaczającego posesję i biegnę wzdłuż muru, żeby przedostać się na jej tylną część.

Z tyłu rezydencja jest rozświetlona jak choinka w Boże Narodzenie, co oczywiście w żaden sposób nie ułatwia mi zadania, ale pewnie to właśnie dlatego ochrona na tym obszarze została ograniczona do minimum. Pamiętam jednak, że na dachu zawsze umieszczają jednego snajpera. Wydaje mi się, że eksplozja skutecznie rozproszyła pozostałych ochroniarzy, jednak nie mogę podejmować decyzji na podstawie niepotwierdzonych domysłów. Wspinam się na gruby mur, zamieram na moment, a następnie zeskakuję po jego drugiej stronie. Kiedy już ląduję cicho na ziemi, przez kilka sekund kucam w cieniu i rozglądam się wokół, przeprowadzając mały rekonesans. Na dachu nie widzę żadnego ruchu, jednak to jeszcze o niczym nie świadczy. Znajdujący się z przodu basen rzuca zimną, niebieską poświatę na starannie skoszoną trawę. Kładę dłoń na pistolecie, odpycham się od ściany i puszczam biegiem przez podwórko, wskakując za najbliższy krzak. Serce bije mi jak szalone, a w żyłach tętni adrenalina. Zamykam oczy na kilka sekund i przechodzę za małe, perfekcyjnie

przystrzyżone drzewo, gdzie tylko czekam, aż ktoś mnie nakryje i zabije. Po chwili wahania delikatnie muskam dłonią brzuch. Jeśli teraz zginę, moje dziecko umrze wraz ze mną, a na to... na to zwyczajnie nie mogę pozwolić. W tej chwili jest ono moim priorytetem i jedyną rzeczą, z której mogę być naprawdę dumna. Problem w tym, że znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Nie mogę urodzić dziecka, kiedy Arnaldo depcze mi po piętach, a jeśli mnie zabiją, to cały mój wysiłek pójdzie na marne. Zresztą nawet nie wiem, czy doczekam tego czasu, bo przez kilka ostatnich miesięcy ciąży nie będę w stanie kontynuować ucieczki ani skutecznie się bronić. Dlatego muszę działać jak najszybciej, bo kolejna taka okazja może już się nie trafić. Nazywam się Una Ivanov, powtarzam w myślach. Wyjdę z tej walki zwycięsko i z tarczą, a potem rozpląnę się w powietrzu niczym śmiertelny szept niesiony przez wiatr. Urodzę to dziecko i oddam je w ręce jakiejś rodziny, która zapewni mu normalne życie, a ja znowu zajmę się tym, na czym znam się najlepiej, czyli na zabijaniu.

Z tą myślą w okamgnieniu pokonuję ostatnie kilka metrów, jakie dzielą mnie od budynku, i przypieram plecami do ściany. Po tej stronie rezydencji nie ma żadnych kamer, co niezbyt dobrze świadczy o instynkcie samozachowawczym Arniego. Zdejmuję plecak i wyciągam ze środka dwa klocki C4, z czego jeden kładę po prawej stronie szklanych drzwi tarasowych, a następnie biorę głęboki oddech, pośpiesznie przechodzę na lewą stronę i umieszczam tam drugi bloczek. Zastanawiam się, czy to aby na pewno rozsądne. Pewnie nie, ale Arnaldo ma pod sobą całą armię, którą muszę jakoś od niego odciągnąć. W przeciwnym razie moja misja może się skończyć zbyt szybko. Mogłam poprosić Saszę, żeby włamał się do tutejszego systemu bezpieczeństwa i wyłączył kamery, a potem zabić Arnaldo bez zwracania niczyjej uwagi. Tylko że tak naprawdę nie chodzi tu o dyskrecję. Chcę, żeby siedział sobie w swoim wygodnym fotelu i patrzył, jak jego cenny dobytek stopniowo obraca się w pył. Żeby widział, jak

jego ludzie padają jak muchy, i żeby uświadomił sobie, że nikt go przede mną nie ochroni. I wreszcie, żeby szturm dał moim przeciwnikom do zrozumienia, że śmierci nie wolno lekceważyć. Oczywiście Arnaldo nie spodziewa się mojej obecności. Nie dlatego, że nikt normalny nie zdecydowałby się na tak bezmyślny atak, ale dlatego, że z politycznego punktu widzenia jest on dość ryzykowny. Z jednej strony Włosi mogą uznać taki obrót spraw za sprawiedliwą karę, biorąc pod uwagę fakt, że Arnaldo zaatakował mnie pierwszy. Równie dobrze mogą zesałać na mnie całą włoską gałąź mafii w ramach zemsty za zabicie jednego z ich braci. Ale mam po swojej stronie Rosjan... a przynajmniej tak mi się wydaje. Poza tym muszę przyznać, że mimo wszystko wierzę w możliwości Nero. Służy jako *capo* w tej samej gałęzi mafii co Arnie, ale pozostali przywódcy czują przed nim respekt. Jest ich dziką kartą. Do tego już wiele razy dawał mi do zrozumienia, że do niego należę, choć prawdopodobnie w tej chwili sam z wielką chęcią by mnie zastrzelił. Jednak to nie oznacza, że muszę od razu porzucać nadzieję. Nie mogę zapomnieć, że ja też mam asa w rękawie, albo raczej w macicy.

Skrećam za róg budynku i wygrzebuję z kieszeni telefon z klapką. Wciskam jeden z klawiszy przez trzy sekundy, a po chwili wszystko wydaje się wejść w stan nieważkości. Od eksplozji dzieli mnie dość spora odległość, lecz mimo to jej gorący podmuch posyła mnie na trawnik rezydencji. Szybko skaczę na równe nogi, wyszarpuję z kabur na udach pistolety i podbiegam do tylnej części domu. Wybuch pozostawił po sobie ogromną wyrwę, z której wciąż odpadają pojedyncze odłamki, a za nią widać fragment parteru, w tym płonąca kuchnię. Eksplozja ode-rwała mniej więcej połowę tylnej ściany, a jej kawałki leżą teraz na trawniku rezydencji, sprawiając, że przypomina ona bardziej krajobraz po bitwie, a nie willę w Hamptons. Trzymam się blisko budynku, wykorzystując ogień, dym i pył jako tymczasową kryjówkę. Od strony ogrodu nikt mnie nie zauważy. A jeśli

chodzi o wnętrze domu... Cóż, ściany są kuloodporne. Strzelam we wszystko, co się rusza. Kiedy w unoszącym się dymie zauważam czyjąś sylwetkę, unoszę pistolet i pociągam za spust. Jeden, drugi, trzeci. Przeładowuję. Powtarzam cały cykl, aż w końcu całe podwórze roi się od martwych ciał, a w powietrzu nie słyhać nic oprócz błęgiego trzasku płomieni i odgłosów rozpadającego się budynku.

Odczekuję kilka sekund, po czym wyjmuję magazynki z obu pistoletów i ponownie je uzupełniam. Następnie przeskakuję nad stosem cegieł i nad pozostałościami po przeszklonych drzwiach tarasowych, odszukując wzrokiem płonące szafki kuchenne. Wchodzę na korytarz, napinając wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na atak. Jest zbyt cicho, za spokojnie. Moje bezgłośnie kroki brzmią wręcz ogłuszająco, a serce bije tak szybko, że pulsują skronie.

Zamieram, kiedy w korytarzu przede mną rozlega się cichy szmer. Tyle mi wystarczy. W jednej chwili padam na ziemię i oddaję dwa strzały, a do moich uszu dobiega bolesny krzyk kolejnej ofiary. Niemal natychmiast kilka metrów dalej słyszę głośnie kroki, a kiedy podnoszę się z ziemi, przed oczami widzę lufę pistoletu. Chwytam mężczyznę za nadgarstek, odsuwając jego ramię, po czym przystawiam mu do brzucha własną broń i naciskam na spust. W ostatnim akcie desperacji wypuszcza jeszcze dwa strzały, lecz po chwili jego ciało zaczyna się rozluźniać. Wciąż żyje, ale dzięki temu mogę go wykorzystać jako ludzką tarczę. Wsuwam mu rękę pod pachy i strzelam w czterech mężczyzn, którzy właśnie biegną w moją stronę. Ich kule trafiają w mojego tymczasowego przyjaciela, sprawiając, że jęczy z bólu i osuwa się na mnie całym ciężarem ciała, chwilowo wytrącając mnie z równowagi. Nagle powietrze przecina głośnie kliknięcie zawleczonego granatu. *Kurwa*. Kiedy coś zderza się z moim butem, rzucam trupa na granat i puszczam się biegiem w stronę najbliższego wyjścia. *Nic z tego*. Ktoś uderza mnie pięścią w szyję

z taką siłą, żeomal nie miażdży mi przetyku. Niemal w tej samej chwili granat wybucha z głośnym hukiem, od którego dzwoni mi w uszach. Mój przeciwnik chłapie mnie w twarz jakimś płynem. Mrugam kilka razy i przetaczam się po podłodze, walcząc o oddech. Kiedy kątem oka zauważam czyjeś buty, wypuszczam powietrze, żeby się uspokoić, i wytrząsam z bransolety na nadgarstku mały sztylecik, który posłusznie upada mi do dłoni.

– Pocałunek śmierci, dobre sobie! – dobiega mnie szyderczy głos z ciężkim, włoskim akcentem. Biorę głęboki oddech, rzucając się w jego stronę i przeciągam sztyletem po jego tylnej części kostki, uszkadzając ścięgno Achillesa i tym samym pozbawiając go równowagi. – Pieprzona suka! – rzuca wściekle, kiedy osuwa się na ziemię.

Natychmiast wykorzystuję okazję i przyszpilam go do podłogi, a w zamian napastnik zaciska palce na moim gardle, wbijając we mnie nienawistne spojrzenie. Uśmiecham się delikatnie i zatapiam sztylecik w jego szyi, a następnie jednym mocnym szarpnięciem przyciągam ostrze do siebie. Z rozerwanej tętnicy szyjnej wypływa fontanna krwi, która tworzy pod nami małą kałużę. Mój niedoszły oprawca zdejmuję dłonie z mojej szyi i przyciska je do rany, mimo że jest za późno, żeby powstrzymać krwawienie. *Już po nim.* Wstaję i opieram dłonie na kolanach, aby zaczerpnąć tchu. Kiedy już mi się to udaje, chowam sztylecik, a następnie podnoszę pistolety z podłogi. Biuro Arnaldo znajduje się po drugiej stronie rezydencji, więc kto wie, ilu ochroniarzy napotkam jeszcze na swojej drodze.

O dziwo, okazuje się, że tylko kilku. Najwyraźniej cała ta goniwta za słynnym pocałunkiem śmierci znacznie ukróciła ochronę podszeffa. Arogancja członków mafii nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Myślą, że mogą sobie wysyłać żołnierzy na lewo i prawo, ponieważ nikt nie ośmieli się ich zaatakować w samym leżu.

Kilku pozostałych ochroniarzy bezwładnie pada na ziemię, a ja wreszcie staję przed drzwiami do biura Arnaldo. Spodzie-

wam się, że gdy tylko otworzę drzwi, to spadnie na mnie cały deszcz kul. Tylko idiota nie zostawiłby przy sobie kilku strażników podczas szturm. Zawsze towarzyszy mu przynajmniej dwóch, a biorąc pod uwagę okoliczności, to pewnie jest ich tam teraz znacznie więcej. Wbijam wzrok w małą kamerę wiszącą tuż nad wejściem. Wiem, że mnie widzi.

Nie odrywając wzroku od soczewki, sięgam dłonią do plecaka. Wyciągam ze środka dwa granaty, unoszę je do twarzy, po czym przyciskam usta do ich metalowej powierzchni, pozostawiając na niej czerwony ślad szminki, moją wizytówkę. Z uśmiechem upuszczam je pod drzwiami i wskakuję za jeden z grubych, marmurowych filarów, które tylko potęgują wystawność tego miejsca. Jak tylko dochodzi do eksplozji, ruszam w stronę połamanych drzwi, strzelając praktycznie we wszystko, co może stanowić dla mnie zagrożenie. Zgrzytam zębami, kiedy jedna z kul trafia mnie w udo, i pośpiesznie chowam się za kolejną kolumną.

Spoglądam w dół i siarczyście klnę, widząc, jak po nodze spływa mi strumień krwi, która wsiąka w materiał spodni.

– Daj spokój, Arnio! Chyba nie tak powinno się traktować gości! – wołam.

– Od samego początku byłeś moim wrogiem, *bacio della morte*. Może i jesteś szanowaną zabójczynią, ale dziś umrzesz jak pies.

Wybucham śmiechem.

– Być może, ale pocieszam się myślą, że przy okazji udało mi się trochę sponiewierać twoją chałupę. – Odsuwam się od drzwi, próbując nie stracić równowagi.

– Cały mój dobytek...

Nie zważając na ostry ból, jaki przeszywa moją nogę, biorę mocny rozbieg. Kiedy znajduję się kilka kroków od drzwi, padam na kolana i ślizgam się po marmurowej podłodze, wykorzystując sączącą się z mojego uda krew. Oddaję dwa strzały, a następnie zatrzymuję się po drugiej stronie wejścia. Chwilę

później słyszę, jak martwe ciała ochroniarzy upadają z głuchym łąpieniem na ziemię. *Dwa*. Dwa trupy. Nie wiem, ilu ich tam jeszcze jest. Równie dobrze mogą chować się za tą ścianą.

– To był cały twój dobytek? – pytam, zaciskając zęby z bólu. Przywieram plecami do ściany i kucam, uciskając dłonią ranę w nodze. Następnie wsuwam rękę pod bluzę, łapię za dolną część podkoszulki i odrywam gruby pas materiału, który kilkoma szybkimi ruchami mocno zawiązuję nad dziurą po kuli. Zamykam oczy, opieram głowę o ścianę i biorę głęboki oddech. Wiem, że skończyły mi się naboje, lecz i tak sprawdzam zawartość magazynków, na wypadek gdybym się pomyliła. Nie pomyliłam się. *Kurwa!* Rzucam jeden z pistoletów na ziemię i chwytam drugi w obie dłonie. Jest pusty, ale Arnie nie musi o tym wiedzieć. Wyszarpuję sztylet z pochwy na udzie, wstaję i ruszam swobodnym krokiem w stronę biura, ponieważ w tej chwili dobre wrażenie jest moją najskuteczniejszą bronią. Pamiętam, jak Nero wszedł kiedyś do pomieszczenia pełnego uzbrojonych gangsterów i kompletnie ich zdominował samą pewnością siebie. Próbuję rozbudzić w sobie ten autorytet. Arnaldo siedzi za biurkiem w towarzystwie dwóch martwych ochroniarzy, którzy leżą po jego obu stronach. Wykrzywia usta i unosi pistolet, lecz ja natychmiast ciskam w niego swoim, trafiając go prosto w czoło. Widząc jego zamroczone spojrzenie, kilkoma krokami pokonuję dzielącą nas przestrzeń i wbijam mu w nadgarstek nóż, przyszpilając go do blatu. Wrzeszczy głośno, tak jak przystało na małą pizdę, i mimowolnie wypuszcza pistolet z ręki. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że uszkodziłam mu nerwy. Patrzy zboląłym wzrokiem, jak powoli podnosi broń, a na czole wykwitają mu kropelki potu. Siadam na biurku naprzeciwko niego i mocno chwytam go za siwiejącą czuprynę.

– Próbowałaś mnie zabić, Arnie – mówię z niezadowolaniem.

– Bo postanowiłaś dla niego pracować – rzuca wściekle. Krew spływa po biurku i skapuje z krawędzi, a jej ciężkie krople mocno rozpryskują się na podłodze.



Wzruszam ramionami.

– Tak to już jest w tym fachu. Więcej płacił, więc przyjąłem jego ofertę. – Obiecał mi w zamian coś, czego nie mogłabym dostać u nikogo innego. Moją siostrę.

– Wkrótce się doigrasz. Tym razem twój ruski tatuś ci nie pomoże – warczy, zamykając palce na rękojeści noża. O dziwo, wyszarpuje go z nadgarstka i próbuje mnie nim dźgnąć. Natychmiast łapię go za przedramię, mocno napierając dłońią na jego środkową część. Rozlega się głośny trzask łamanej kości, a bolesne wycie Arniego mimowolnie wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Upuszcza nóż na blat i przyciska do piersi rękę, która jest teraz wygięta pod dość nienaturalnym kątem. Z takimi jak Arnaldo nie można się cackać, choć zwykle to nie oni ruszają do ataku, bo mają od tego swoich pacholków. Obowiązki takich jak on ograniczają się do siedzenia za biurkiem w wygodnym fotelu, a za spust pociągają tylko okazjonalnie. Nie ma ze mną żadnych szans, o czym doskonale wie. Widzę to w jego oczach. Chwytam go za włosy i szarpnięciem odchylam mu głowę, żeby nie mógł odwrócić ode mnie wzroku.

Z uśmiechem przytykam mu do szyi ostrze noża i mocno przeciągam nim po jego gardle. Wytrzeszcza oczy, a chwilę później z ust wypływa mu wartki strumień krwi, który następnie wsiąka w materiał koszuli.

Zaciskam mu palce na brodzie i patrzę w jego gasnące oczy.

– Nie potrzebuję pomocy. Jestem pocałunkiem śmierci. – Całuję go delikatnie w czoło, a kiedy się od niego odsuwam, z jego ust wydobywa się ostatnie ciche tchnienie.

Zwykle pozbywanie się przeciwników wzbudza we mnie iskrę ekscytacji, jednak tym razem nie czuję absolutnie nic. Nikt mi za niego nie zapłaci. Nie był wrogiem jakiegoś przypadkowego klienta, którego w życiu nie widziałam na oczy. Był moim wrogiem. Zrobiłam to z własnych pobudek. Chciałam dać

wszystkim do zrozumienia, że polowanie na samą śmierć zawsze kończy się tym, że sama po ciebie przychodzi.

Czas na mnie. Właśnie zabiłam podszefa włoskiej mafii i wkrótce będę musiała zmierzyć się z konsekwencjami. Nawet uosobienie śmierci zdaje sobie sprawę, że czasem ucieczka jest najlepszym wyjściem z sytuacji.